

## Hilaire Belloc: Richelieu

Jeden człowiek – bardziej niż jakikolwiek inny, bardziej niż jakakolwiek bezosobowa siła (spośród tylu działających sił) – zarazem zapoczątkował nacjonalizm i utrwalił podział między kulturą katolicką a protestancką. Tym człowiekiem był Armand-Jean du Plessis, kardynał de Richelieu – pisał Hilaire Belloc w pracy „Richelieu. A Study”. Jej obszernie fragmenty publikujemy w „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Richelieu. Ontologia(e) państwa nowożytnego”.

Hilaire Belloc (1870–1953) był angielsko-francuskim eseistą, historykiem, poetą i jednym z najwyrazistszych (i najpłodniejszych w szermierce piórem) katolickich polemistów i apologetów XX wieku. W swych pracach ostrzegał przed ubóstwieniem narodu i ekonomii, protestował przeciwko materialistycznemu etosowi przemysłowej rzeczywistości; wraz z G. K. Chestertonem współtworzyli ruch dystrybucjonizmu. Pisał wiele o historii Francji. Wg słów M. Mahony: „Jego pogląd na historię, wypowiedziany w licznych biografiach i pracach historycznych, był silnie przesiąknięty rzymskokatolickim punktem widzenia. Belloc traktował Reformację jako nieszczęśliwy wypadek, Oświecenie jako poważny błąd, cenił średniowiecze”. Wiele jego ważnych prac pozostaje nieprzetłumaczonych na język polski.

W książce *Richelieu. A Study* (London 1929) Belloc widzi we francuskim kardynale jednego z głównych współtwórców nowożytnego scentralizowanego państwa z regularnym podatkiem, stałą armią i

sprawnym aparatem władzy – a zarazem mimowolnego ojca podziału Zachodu na dwie wrogie sobie kultury: katolicką i protestancką, utrwalonego przez zwycięstwo racji stanu nad jednością chrześcijańską. Stawia tezę mocną i prowokacyjną, że Richelieu – w pewnych aspektach prekursor Bismarcka, polityk troszczący się wyłącznie o potęgę państwa – usunął z polityki zasady katolicyzmu, torując drogę „religii” nacjonalizmu; dlatego właśnie tandem Richelieu–kanclerz Bismarck obarczał winą za problemy XX-wiecznej Europy, której narody gotowe były do bratobójczych wojen.

Wybór i opracowanie: *A. Talarowski*

\*\*\*

## **Richelieu. Wprowadzenie**

Książka musi mieć tytuł, a dzisiaj musi mieć tytuł zwięzły; dlatego ta książka ukazuje się jako *Richelieu*. Ale to imię mogłoby posłużyć nie jednej książce, lecz całej bibliotece. Jeden wielki uczyony zapełnił tomy samymi tylko szczegółami dotyczącymi administracyjnej działalności Kardynała; inny stworzył w dwóch ogromnych księgach studium jego koadiutora. W każdym języku Europy istnieją monografie poświęcone temu czy innemu wymiarowi człowieka, który tak silnie wpłynął na chrześcijaństwo i je przekształcił. Podręczników przedstawiających w zarysie wszystkie główne fakty i daty z jego życia jest może dwieście; opinii o nim, krytyk i całej reszty – niezliczona rzesza.

W studium, do którego te słowa są przedmową, zajmuję się jednym tylko zagadnieniem, ale zagadnieniem najwyższej wagi, które większość naszych współczesnych pozwoliła zepchnąć na dalszy plan albo wręcz pominęła. Jest to najdonioślejsza kwestia związana z owym wielkim imieniem. Jest to trwałe odchylenie (*deflection*) Europy, od jego czasów do naszych, prowadzące do stanu, w którym chrześcijanie pozostają podwójnie podzieleni: [odchylenie] które rozbiło chrześcijaństwo na mozaikę narodowości; które wyniosło kult narodowości do rangi religii uzurpujającej sobie miejsce dawnej religii, dzięki której powstała Europa; i które pozostawiło linię podziału między kulturą katolicką a protestancką – podział, który na naszych oczach staje się coraz głębszą przepaścią.

**Przeczytaj również: Marek A. Cichocki: Dygresja na temat racji stanu**

Aby jasno wykazać, że to był skutek jego legendarnego oddania pracy, jego nieludzkiego trudu, że to właśnie było jego osiągnięciem i że dlatego przez niego nadeszło odpowiadające temu niepowodzenie jedności religijnej i kulturowej – temu służy moje pisanie tutaj. Aby to wyjaśnić, muszę rozważyć człowieka i jego otoczenie, lecz wszystko to jest podrzędne wobec owego głównego zagadnienia. Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy – tak podzieleni i w niebezpieczeństwie rozpadu z powodu naszego podziału – ponieważ Richelieu skierował swój zdystansowany (*remote*), odizolowany, przytłaczający geniusz na stworzenie nowoczesnego państwa, a nieświadomie przyczynił się do upadku wspólnej jedności życia chrześcijańskiego.

W dążeniu do tego zadania koniecznie pomijam tysiące szczegółów. Nie podejmuję się pisania kroniki ani rozbudowanego portretu, a wykluczam to, co w większości dzieł historycznych szczególnie bym uwypatniał – istotne elementy barwy, pejzażu, stroju, gestu, rysów i całej materii fizycznego otoczenia.

Gdyby ludzie dzisiaj byli dostatecznie świadomi chaosu, w jaki popadło chrześcijaństwo, takie studium byłoby zbędne. Gdyby ich uwagę zwrócono ku prawdzie, że u źródła tej klęski leży wola jednego człowieka, to studium byłoby tylko jednym z wielu. Wydaję je jedynie po to, aby wypełniło swoje miejsce. Jeśli zarzuci mi się, że jeden człowiek nie mógł sam wyrzucić takiego skutku, zgadzam się z tym – rzecz oczywista. Niezliczone czynniki łączą się w nierozwikłanej złożoności naszej wspólnej historii. Jeden człowiek, nawet największy, odgrywa tylko swoją część; a nie ma takiego umysłu, który byłby w stanie ocenić proporcję tej części. Ale prawdą jest, że wola człowieka kieruje losem człowieka, zarówno zbiorowo, jak i indywidualnie, i prawdą jest, że wśród zdradliwych nurtów, które mamy przed sobą [autor pisał te słowa w roku 1929 – przyp. red.], wolą, którą należy uznać za ich źródło, jest wola Richelieu. Wyolbrzymianie jej skutków byłoby błędem, ale błędem w dobrą stronę; albowiem sprowadzanie Richelieu jedynie do jednego miejsca wśród wielu równych mu, jak się to zazwyczaj czyni, oznacza niezrozumienie skali jego dokonań.

## **I Richelieu – twórca nowoczesnej Europy**

Kto dzisiaj przygląda się Europie, napotyka dziwną anomalię: jest ona jedną wielką kulturą, a jednak znajduje się w śmiertelnym konflikcie sama z sobą. Nadal jest w sposób chwiejny tym, czym przez długi czas była triumfalnie – głową świata; a jednak zawiera w sobie zasady rozbicia, które już poważnie nią wstrząsnęły i mogą ją ostatecznie zniszczyć.

Dwa wielkie źródła takiego rozbicia obecne są w ciele Europy – w ciele, które nasi przodkowie trafniej nazywali „Chrześcijaństwem” (*Christendom*).

Pierwsze – podstawowe i najpotężniejsze źródło konfliktu wewnętrznego – to podział tego społeczeństwa na dwie wyraźnie przeciwstawne kultury: pierwotną kulturę katolicką oraz później ustanowioną protestancką. Pomędzy nimi Zachód jest rozdierany przez wzajemną pogardę, która sprawia, że każda ze stron jest pewna swojego ostatecznego triumfu, a co gorsza – przez tłącą się, nie zawsze uświadomioną nienawiść; tym groźniejszą, że milczenie spowija jej prawdziwe źródła.

Drugie jednak źródło rozbicia również posiada wielką i zgubną siłę: można je nazwać religią patriotyzmu – kultem Narodu jako najwyższego przedmiotu miłości; poświęceniem ogólnej jedności na rzecz lokalnego uczucia. Ton i charakter każdego społeczeństwa wynikają ostatecznie z jego filozofii, to znaczy z jego religii. Gdy Europa była zjednoczona przed katastrofą XVI wieku, przed rozbiciem Chrześcijaństwa, jedna religia inspirowała duszę Zachodu. Centralną

doktryną tej religii było Wcielenie; jej straż, interpretacja i przekaz spoczywały w rękach hierarchii związanej ze Stolicą Apostolską, najwyższym autorytetem w Rzymie; jej wzniosłym rytuałem była Msza, której misteria, nieustannie sprawowane, napełniały wspólnotę chrześcijan rzeczywistą obecnością Boga Zbawiciela. Wspólne wyznanie wiary i praktyka rodziły wspólny nastrój w całym społeczeństwie; i Europa, choć od dawna posiadająca silne związki lokalne, różnorodne języki i zwyczaje, pozostawała zasadniczo jednością.

Na gruzach tej jedności, po Reformacji, pojawił się (bo człowiek musi coś czcić) nowy mistyczny entuzjizm – adoracja własnego kraju. Nowa religia dojrzewała powoli; długo modyfikowały ją wspomnienia dawnej europejskiej wspólnoty, a do skrajnych uniesień doszła dopiero w czasach zupełnie nowoczesnych. Z początku była raczej oddaniem wobec Księcia niż wobec Narodu; następnie rozwinęła się w żar wobec własnych stron, aż w swojej ostatniej fazie stała się wyniesioną na piedestał służbą wymagowanej osobowości lub bożkowi przedstawiającemu ojczyznę, i towarzyszyły jej – jak wszystkim religiom – ceremoniał, rytuał oraz nienaruszalne symbole.

Dziś, albo przynajmniej w pokoleniu bezpośrednio poprzedzającym Wielką Wojnę, ten dotąd nieznan wyłączny kult, to bałwochwalstwo narodu, wypełniało umysły wszystkich ludzi.

W imię patriotyzmu ludzie byli gotowi bezwzględnie tępić tych ze swych rodaków, którzy wydawali się letni lub zdolni do podwójnej lojalności; byli nawet gotowi masowo niszczyć swoich współbraci w Europie, zorganizowanych w inne grupy. Prawo tej nowej religii do

pełnej lojalności ludzi nie było kwestionowane. Ci sami ludzie, którzy dawniej najgłośniej potępiali absolutne roszczenia doktryny chrześcijańskiej i wielkiej wspólnoty chrześcijańskiej broniącej się przed wewnętrzną herezją i anarchią, pierwsi przyjmowali za oczywiste, że mogą – z czystym sumieniem – pozbyć się tych, którzy okazali się heretykami religii Nacjonalizmu.

Co więcej: ludzie pozwolili się w końcu w milionach zagnać w najstraszliwsze warunki cierpienia, izolacji i rzezi, przeciągającej się przez ponad cztery lata; gotowi byli znosić męki, jakich dotąd ludzkość nie знаła – byle tylko nie zostać napiętnowanymi jako heretycy religii Nacjonalizmu.

Z tych dwóch czynników rozbicia – rozpadu Chrześcijaństwa na dwie kultury, katolicką i protestancką; oraz nowej religii Patriotyzmu (gdy każda prowincja Europy przedkładała samą siebie nad samo życie Europy) – wynika, powiadam, nasza dzisiejsza wątpliwość, czy Europa przetrwa, czy też niebawem utracimy te nasze osiągnięcia, które uczyniły z Chrześcijaństwa nie tylko pana, ale i nauczyciela całego świata. Niepewne jest, czy nie zaczynamy właśnie osuwać się w barbarzyństwo.

Jedna wola, daleko bardziej niż inne świadome siły – jeden człowiek, daleko bardziej niż inni ludzie – znajdował się, sam nie zdając sobie z tego sprawy, u początków naszego obecnego stanu rzeczy. Jeden człowiek – bardziej niż jakikolwiek inny, bardziej niż jakakolwiek bezosobowa siła (spośród tylu działających sił) – zarazem

zapoczątkował nacjonalizm i utrwalił podział między kulturą katolicką a protestancką. Tym człowiekiem był Armand-Jean du Plessis, kardynał de Richelieu.

Dwa stulecia później, gdy ów ferment doszedł do szczytu, pojawił się na scenie europejskiej inny człowiek, równy mu geniuszem; potwierdził, uwydatnił, utwardził, a zdawało się – uczynił wiecznym ów śmiertelny podział między dwiema kulturami, katolicką i protestancką, a także doprowadził niemal do obłędu – u swoich ofiar i poddanych – owo samoubóstwienie, które dziś nazywamy patriotyzmem. Imię tego drugiego wielkiego sprawcy owej katastrofalnej sprawy brzmiało: Otto von Bismarck.

Celem niniejszych stron jest rozważenie, kim był Richelieu – człowiek, który dokonał, w dużej mierze wbrew sobie samemu, tak ogromnej rzeczy; zbadanie, na ile się da, jego charakteru i natury, okoliczności sprzyjających jego działaniom, przeszkód, które pokonał; a także, na wstępie, zastanowienie się nad osobliwą paralelą między nim a Bismarckiem, jego następcą, który potwierdził to dzieło.

Zamierzam opisać okoliczności, w jakich działał Richelieu, kiedy tworzył i urzeczywistniał scentralizowany naród współczesny; przedstawić, na ile potrafię, samego człowieka; a także prześledzić w kolejnych epizodach kroki, dzięki którym dokonał tak ogromnej rzeczy, jak ustanowienie potężnego protestantyzmu w Europie z jednej strony, a z drugiej – stworzenie nowoczesnego państwa.

Spróbuję opisać jego działania nie w formie kroniki, lecz całkowicie w odniesieniu do duszy, która działała, i mając szczególnie na uwadze – dla siebie i dla moich czytelników – tę straszną prawdę: że to, co osiągają ludzie takiego formatu, nigdy nie ogranicza się do ich pierwotnych zamierzeń, lecz coraz bardziej je przekracza. Bo mali ludzie mogą planować swoje sukcesy i mniej więcej doprowadzać program do końca, ku własnemu zadowoleniu w ciągu ich krótkiego życia i zgodnie z ich małymi pragnieniami. Ci zaś, którzy są używani jako narzędzia wielkich przemian rodzaju ludzkiego, jak są innej miary, tak też bardziej skazani są na ślepotę. Działają jakby na szczytach ciemności. I nie oni sami działają, lecz coś innego, co ich popycha.

Takiego rodzaju są ludzie, którzy zmieniają losy, a nawet sam sposób myślenia naszego gatunku. Tacy są ci, którzy – częściej piśmem, czasem orężem, rzadziej, lecz potężniej, mądrością państwową, a raz czy dwa być może (i to najpotężniejsza ze wszystkich dróg) samym przykładem – przekształcają świat. Takiego rodzaju są ich osiągnięcia: nie ich własne.

Przedstawienie więc wielkiego człowieka i przypisywanie najdonioślejszych skutków osobistemu działaniu jednej istoty ludzkiej może wydawać się przesadą i może wymagać usprawiedliwienia. Był to – a raczej do niedawna był – nawyk powszechny w piśmarstwie historycznym: umniejszanie wpływu jednostki. Siła tego nawyku nadal pozostaje wielka.

Był to nawyk wynikający po części z reakcji przeciwko wcześniejszemu wyolbrzymieniu postaci historycznych. To wyolbrzymienie wpływało z głębokiego błędu Comte'a – filozofa, którego pośredni wpływ był znacznie szerszy, niż większość ludzi zdaje sobie dziś sprawę. [...] Ale jeszcze bardziej niż jakakolwiek reakcja przeciwko Comte'owi, wpłynęła na to nauka przyrodnicza [...].

Stąd wynikało umniejszanie roli jednostkowego sprawcy ludzkiego oraz wyobrażenie, że historia jest procesem ślepym, koniecznym, a nawet mechanicznym. Jednostka jawiła się jedynie jako produkt okoliczności, i choć jej działania mogły być żywe i wyraziste, stanowiła zaledwie cząstkę procesu uniwersalnego, nieznaczną i bezsilną.

Że taki pogląd był równie fałszywy historycznie, jak filozoficznie fałszywe były dogmaty, z których się wywodził, wystarczy najpłytsza nawet refleksja nad przeszłością, by to wykazać. W dziejach nieustannie powraca bowiem fakt, że jeden człowiek dokonuje i jest prawdziwym twórcą wydarzenia doniosłego. Wydarzenie to niekoniecznie będzie miało takie konsekwencje, jakich by oczekiwał. Mógł je spowodować bez zamiaru wykraczającego poza bezpośrednie granice swojego działania — lecz spowodował je.

W historii wojskowej widać to szczególnie jaskrawo. Geniusz Focha nigdy nie wyraził się prawdziwiej ani zwięźlej niż w zdaniu: „To nie armia przekroczyła Alpy; to Hannibal.” Prawda ta jest równie widoczna w każdej innej formie ludzkiej energii. Zainteresowanie, jakie w nas budzi perspektywa wielkiego geniuszumoże sprawić, że przecenimy

rolę, jaką może odegrać jedna wola, ale jest to błąd w dobrą stronę. Możemy bezpiecznie powiedzieć, że u podstaw wszystkich znaczących osiągnięć – a zwłaszcza tych najwyższej rangi – stoi jeden człowiek.

Tak było z Richelieu. Oto człowiek, któremu przypadły pewne szanse, bez których zapewne nie mógłby podjąć czynu; lecz mimo to szanse te miały mniejsze znaczenie niż trudności, jakie przyszło mu przezwyciężyć.

**Przeczytaj również: Arkadiusz Bożejewicz: „Testament politique” kardynała Richelieu**

Przyjrzyjmy się sytuacji, gdy się pojawił. Wkracza on w życie czynne tuż po dwudziestym roku życia, na scenę, na której Europie – i jego własnemu społeczeństwu – mogło przypaść jeden z wielu bardzo różnych losów. Przez sto lat zachodnie chrześcijaństwo było areną wyniszczającego sporu religijnego, który w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat przerodził się w jedną wielką wojnę domową; wojnę domową, która choć zrodzona z rewolucji religijnej, karmiona była okazjami do grabieży, nagłego wzbogacenia się, zaspokojenia żądz zemsty, nienawiści i samego pragnienia przygody oraz odmiany, jakie mogło dawać takie zamieszanie.

Tymczasem pośród chaosu działał nowy czynnik formacyjny – zasada narodowości. Po wieku pełnym sprzecznych religijnych szarów ludzie zaczynają widzieć w narodzie obiekt czci, w miejsce wspólnej kultury przekazanej przez całą historię naszego gatunku.

Francja, naród, w którym urodził się ów młodzieniec, ma za zasadę jednoczącą od dawna ustanowioną dziedziczną monarchię, wobec której wszyscy współobywatele, nawet buntownicy, odczuwają w głębi serca instynktowną lojalność. A jednak przez czterdzieści ostatnich lat, przez połowę życia poprzedzającego jego wkroczenie [na scenę], owa monarchia była igraszką i celem gwałtownych, bezładnych rebelii.

Henryk III, ostatni z długiej linii królów (z dynastii Walezjuszy), ginie zamordowany na oczach ojca Richelieu, gdy sam Richelieu jest jeszcze niemowlęciem. Jego następcę udaje się znaleźć jedynie w osobie dalekiego kuzyna (Burbona, Henryka IV), który sam ginie zamordowany, zanim Richelieu ukończy dwudziesty piąty rok życia. Syn i następca Henryka IV, Ludwik XIII — ten sam, któremu Richelieu miał później służyć — obejmuje tron jako ośmioletni chłopiec po zabójstwie ojca i dorasta jako człowiek kapryśny, ograniczony i chłodny, ledwie normalny; otacza go grono postaci, z których żadna nie stoi wysoko ani pod względem inteligencji, ani moralności. Najpotężniejszą z nich jest królowa matka, regentka; najgroźniejszymi — jej faworyci oraz ulubieńcy młodego króla; najbardziej niepokojącym zaś — brat królewski Gaston, żywy, lecz nieudolny i (w dużej mierze pod presją innych) fałszywie ambitny: traktowany zawsze jako następca, chciwy objęcia tronu, a jednak pusty w polityce i marionetka wrogów swego kraju.

Pierwsze lata nowego panowania upływają całkowicie na ostatnim i najgwałtowniejszym buncie religijnym przeciwko Koronie Francuskiej, buncie, który aż do momentu, gdy Richelieu doszedł do trwałej władzy — gdy król miał zaledwie dwadzieścia trzy lata — wydawał się grozić zatopieniem tej monarchii.

[...]

W obrębie monarchii francuskiej działają potężne siły — zakony religijne, wspólne uczucie religijne ludu, pragnienie władzy i pokoju po długotrwałych niepokojach — wspierające wielką reakcję katolicką; a także wiele rodzin rządzących i jeszcze więcej urzędników, którzy (zazwyczaj z drobnych pobudek) stoją po tej samej stronie. Lecz wielcy możnowładcy pozostają wciąż na wpół niezależni, a najlepsi spośród ich wodzów, zbrojnie występując w polu, prowadzą wojnę przeciwko królowi. Działają po stronie antykatolickiej — jedni szczerze protestanci, wielu to jedynie buntownicy polityczni, czyniący z religii pretekst, ale wszyscy mający jakieś narodowe usprawiedliwienie swej postawy, gdyż otaczająca zewsząd Francję potęga hiszpańskich Habsburgów oraz groźba austriackich Habsburgów od wschodu uosabiają dawną wiarę chrześcijaństwa, której przeciwstawiał się protestantyzm.

Taki był chaos interesów i sił, gdy pojawił się Richelieu.

Czyż nie jest jasne, że z takiej mieszaniny mogło wyniknąć wiele różnych następstw?

Mogliśmy mieć dziś Europę znów zjednoczoną w jednolitą katolicką całość — lecz pod panowaniem jednej rodziny Habsburgów. Mogliśmy mieć (choć mniej prawdopodobne) Europę katolicką, konfederację kilku prowincji, ale zbudowaną na wytepieniu herezji, które zagroziły samemu istnieniu cywilizacji.

Mogło się zdarzyć przeciwnie – triumf skrajnego nacjonalizmu w całej Europie na długo przed jego ostatecznym rozwojem w naszych czasach, a wraz z nim przedwczesny upadek Europy. W związku z tym moglibyśmy równie dobrze mieć nową Francję, szybko przechodzącą na protestantyzm, zorganizowaną na sposób feudalny pod władzą wielkich francuskich książąt protestanckich, którzy byli najlepszymi dowódcami i prowadzili wówczas najlepsze armie.

To, co faktycznie nastąpiło, nie było żadną z tych możliwości, lecz tym, co znamy.

Nastąpiło zahamowanie reakcji katolickiej właśnie w chwili, gdy zdawała się skazana na odzyskanie całych Niemiec i narzucenie się ogółowi Europy.

Nastąpił od tego momentu pierwszy upadek władzy cesarskiej i Domu Austrii – upadek, który trwał nieprzerwanie aż do tragedii Wielkiej Wojny w naszych czasach. Nastąpił upadek Hiszpanii; jej osłabienie, wykrwawienie; ostateczna utrata Niderlandów Północnych; utrata jej wpływów w dorzeczu Renu; utrata niekwestionowanej przewagi nad Morzem Śródziemnym.

Nastąpiła (choć początkowo proces ten był ukryty) zapaść bezpośrednich rządów hiszpańskich nad Nowym Światem, która miała zakończyć się dwieście lat później jego oddzieleniem od Madrytu i powstaniem republik Ameryki Południowej i Środkowej.

Nastąpiło ocalenie, wzmocnienie i rozwój kultury protestanckiej w całej Północy; porzucenie Irlandii; pierwsze zagrożenia Polski – które miały później doprowadzić do zamordowania tego kraju, forpoczty katolicyzmu (*Catholic outpost*); początki Prus oraz stopniowe przejmowanie i podporządkowywanie przez Prusy ponad połowy ziem niemieckich.

Przed wszystkim jednak powstał nowy, wysoko zorganizowany, nowoczesny naród w samym sercu Europy, poddany jednej silnej władzy monarszej, szybko sięgający samych szczytów twórczej sztuki w literaturze, architekturze, malarstwie, rzeźbie i sztuce wojennej, stając się wzorem, według którego miały się kształtować nowe ideały nacjonalizmu.

Tym nowym zorganizowanym narodem była Francja. Człowiekiem, który tego wszystkiego dokonał, był Richelieu. To on był tym, bez którego te rzeczy nie mogłyby się wydarzyć. To on, podporządkowując każdą inną kwestię sprawie monarchii, której służył (a więc sprawie narodu), skonsolidował wszystko pod berłem korony. Uczynił to w kraju, tolerując różnice religijne, aby zachować jedność narodową. Uczynił to za granicą, wspierając siły protestanckie przeciwko Habsburgom. To właśnie on zapewnił trwałe podstawy protestanckiej Europy, udzielając czynnego wsparcia antykatolickim siłom Niemiec i Szwecji, które posłużyły jako sojusznicy w walce ze świeckimi katolickimi rywalami króla Francji.

To on bezpośrednio, własną wolą, ukształtował ład siedemnastowieczny, a także, wbrew własnej woli, Europę wczorajszą. Dzięki niemu powstała nowoczesna Europa; aż wreszcie, dwieście lat po Richelieu, by potwierdzić jej podziały i uczynić pozornie nieodwracalnym rozłam w naszej kulturze, pojawił się odpowiadający mu geniusz – Bismarck.

## **II Richelieu i Bismarck**

Gdyby Plutarch powrócił, nie znalazłby lepszego współczesnego tematu do równoległych życiorysów niż losy Richelieu i Bismarcka.

Obaj urodzeni w szlacheństwie swego kraju, choć z dala od jego najwyższych szczebli, obaj wznieśli się do godności pierwszych w państwie.

Obaj służyli dynastii i obaj umarli, pozostawiając swego ukoronowanego pana na samym szczycie potęgi.

Obaj stworzyli i skonsolidowali państwo, obaj zwyciężyli dzięki połączeniu dyplomatycznych, politycznych i wojskowych talentów.

Obaj pozostawili jako bezpośredni owoc swego geniuszu wielką następną epokę: Richelieu – „Wiek” Ludwika XIV, który wprost wyrósł z jego wysiłków; Bismarck – ową pruską hegemonię nad Europą oraz szybki rozwój bogactwa i liczby ludności jego „Rzeszy”, której ekspansja stała się najistotniejszym faktem politycznym w Europie przez niemal tak długi okres, jak chwala Ludwika XIV. Albowiem „Wielki Wiek”, rozpoczęty około 1660 roku, znajduje się w pełnym schyłku już w roku 1710, a więc po pięćdziesięciu latach; zgasł, zanim minęło sześćdziesiąt. Pruska hegemonia Bismarcka nad Europą ujawnia się w 1866 roku, w pełni ugruntowuje się w 1871 i trwa niemal do końca Wielkiej Wojny w 1918.

Ale zestawienie tych dwóch ludzi ma znaczenie o wiele głębsze niż podobieństwo ich karier.

Albowiem, jak powiedziałem, jeden założył to, co drugi dokończył. Istnieje między nimi ciągłość, a także więź wspólnego udziału w potężnym skutku, którego pierwszy nie przewidział, a którego drugi nie zaplanował wprost, lecz któremu obaj służyli: pierwszy jako inicjator, drugi jako dopełniający – pod kierunkiem sił daleko przewyższających ludzkie zamysły. Tym potężnym skutkiem było owo dwoiste zjawisko, które śledziliśmy: pojawienie się nacjonalizmu jako głównej pobudki ludzkiego działania oraz wynikające z tego – bądź towarzyszące temu – sprowadzenie kultury katolickiej do pozycji obronnej, pod panowaniem sił antykatolickich, głównie protestanckich.

Zjednoczone i zorganizowane państwo francuskie, dane światu jako wzór przez Richelieu, zostało następnie uzupełnione przez całkowite zjednoczenie moralne Anglii dzięki wytopieniu katolickiej mniejszości religijnej i dynastii Stuartów, która ją chroniła. Ten podwójny przykład francuskiego i angielskiego nacjonalizmu powoli oddziaływał na całą Europę. Nowe państwo rosyjskie Piotra Wielkiego czerpało z tego przykładu. Idea nacjonalizmu stała się powszechnie znana, choć jeszcze nieskuteczna, w podzielonych Niemczech i Włoszech XVIII wieku. Prusy stały się niemal w takim samym stopniu narodem, co systemem. Zwycięstwa Skandynawów pozostawiły podobne dziedzictwo Szwecji.

Wraz z Rewolucją Francuską idea ta zapłonęła i stała się religią, która otacza nas dzisiaj; a w jej następstwie połowa XIX wieku jest pełna „narodów walczących o wolność” w regionach, gdzie dotąd takie pojęcie nic nie znaczyło. Tak ukształtowały się nowoczesne Włochy. Węgry domagają się własnej podmiotowości. Dawno utrwalony rozbiór Polski jedynie podkreślał polskie żądania.

W końcu pojawia się Bismarck, który z wyjątkową zręcznością wykorzystuje nowy ideał, by wzmocnić to, co zdawałoby się jego całkowitym przeciwieństwem: koronę pruską i panowanie Berlina nad mniejszymi jednostkami narodów Niemiec Północnych i Środkowych.

Tworzy sztuczny naród tak skutecznie, że w ciągu trzydziestu lat po jego śmierci zaczęto nazywać go „Niemcami”, choć jego istotą była negacja niemieckiej jedności i wyłączenie z owych „Niemiec” wszystkiego, co wśród Niemców mogłoby przeważyć nad potęgą

Hohenzollernów. Opiera się na tej nowej Religii Nacjonalizmu, aby tchnąć ducha, jedność i życie w coś, co zaczynało jako układ mechaniczny i sztuczny. Odnosi pełen sukces; a następne pokolenie gotowe będzie z radością umierać za swą nową „Rzeszę”, obojętne na tę część niemieckości, która znalazła się poza jej granicami.

Równocześnie, poprzez swoje postępowanie wobec Francuzów po zwycięstwach nad nimi, poprzez coraz większą surowość wobec podbitych Polaków, rozpala nacjonalizm na wschód i na zachód od swoich nowych granic.

[...]

Możemy prześledzić, w jaki sposób dzieło tych dwóch ludzi nawzajem się dopełniało i uzupełniało. Równoległość i następstwo są oczywiste. Ale należy też zauważyć kontrast: kontrast charakterów i kontrast pomiędzy zaletami oraz trudnościami, które im sprzyjały bądź im przeszkadzały.

W wyglądzie zewnętrznym kontrast ten jest uderzający. Nie ma dwóch postaci bardziej przeciwnych niż kwadratowa, krępa, tęga twarz jednego i spiczasta broda oraz subtelnie wyrzeźbione, blade rysy drugiego; subtelny ogień i gotowość do powściągnięcia lub nagłego skoku, jakie zdradza twarz Richelieu, i zwodnicza maska prostackiej prostoty, którą okrywa się Bismarck. Ciała są w podobnej opozycji. To Wół i Lampart.

W jednym, w Bismarcku, giętki duch ukrywa się pod zewnętrzną bezpośredniością i szorstką pewnością siebie, które nie są całkiem udawane, lecz po części pochodzą z krwi wschodniołabskich ziemian. W drugim duch równie giętki wyraża się w każdym powściągliwym geście, w drobnych ruchach i spojrzeniach o niezwyklej subtelności. Powiedziano, że jednego można porównać do mocnego piwa, a drugiego do szlachetnej brandy. [...]

Wspólnych zalet było wiele. Obydwaj mieli stałe poparcie monarchy, któremu tak oddanie służyli. Obydwaj korzystali z nieudolności swego pana (cecha negatywna, ale niezwykle cenna dla sługi). Było też u obu uznanie tej nieudolności przez samego monarchę (cecha pozytywna, jeszcze cenniejsza). Obydwaj doświadczali szczęśliwego zbiegu okoliczności w momentach krytycznych, choć Bismarck częściej niż Richelieu. Richelieu bowiem sam stwarzał sobie powodzenie w każdej przesileniowej chwili — jak na słynnym „Dniu zawiedzionych” czy też pod Casale; podczas gdy Bismarck raz po raz trafiał na czyste szczęście. Dzięki temu Bismarck mógł dowolnie rozgrywać Bawarię, bo król bawarski był obłąkany; i miał, bez żadnych zabiegów z własnej strony, zapewnioną neutralność Wielkiej Brytanii. Richelieu natomiast nie mógł liczyć na żadną neutralność, której sam nie wypracował, a wszyscy jego sojusznicy czuwali jedynie nad własnym interesem.

Obaj dysponowali niezrównaną służbą wywiadowczą, którą każdy z nich sam stworzył. Obaj mieli szerokie zasoby, choć Richelieu mógł je uzyskiwać jedynie kosztem uciążliwych i nadmiernych podatków. Każdy znajdował się w centralnym położeniu geograficznym dla swoich czasów i każdy korzystał z rozwoju wynalazków mechanicznych oraz nauki w okresie swej działalności.

Obaj mieli do dyspozycji dobrych podwładnych, ale Richelieu miał tu znacznie więcej szczęścia niż Bismarck. Richelieu bowiem miał pod ręką całe grono kompetentnych i oddanych ludzi, jak Charnacé, a przede wszystkim nieocenioną inspirację od Josepha du Tremblay, podczas gdy Bismarck nie miał żadnego zastępcy godnego swego wielkiego zadania.

Obaj potrafili zachować wierność i nie przerwali służby, przez wszystkie lata czynnej działalności.

[...]

Richelieu musiał od podstaw, wbrew zacieklej opozycji, stworzyć morskie i lądowe narzędzia swej polityki, a i tak każde z nich było wątpliwej jakości. Bismarck nie potrzebował floty, a odziedziczył znakomite narzędzie wojny w postaci armii pruskiej, o tradycjach sięgających dwóch stuleci. Temu wielkiemu darowi losu zawdzięczał dwie olśniewające kampanie przeciwko Austrii i Francji, które w ciągu zaledwie czterech lat ustanowiły jego potęgę niemal jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ale choć Bismarck miał nad Richelieu ogromną przewagę natychmiastowego, przytłaczającego sukcesu militarnego — z całym prestiżem moralnym, jaki ten daje, oraz całą mocą materialną — obciążony był bardzo poważnym brakiem, od którego Kardynał był wolny: musiał działać pod presją ukrytego rozdzwiewku między swym rzeczywistym a swym pozornym celem.

Richelieu nie był hamowany przez żaden taki duchowy rozłam na swojej drodze. Otwarcie pragnął jedności swego kraju, wzmocnienia jego rządu centralnego, osiągnięcia naturalnych granic, tolerancji dla podziałów religijnych, a jednak zarazem likwidacji religijnego „państwa w państwie”.

W szczegółach dyplomacji Richelieu było, rzecz jasna, tak jak w szczegółach każdej dyplomacji, niemało nieszczerości. Aby przechytrzyć przeciwników, musiał stale udawać, że pragnie tego czy owego, gdy naprawdę dążył do czego innego. Musiał bez przerwy przedstawiać sojusznikom ich rzekomą korzyść, gdy w istocie zabiegał o korzyść własnego narodu. Musiał — jak wszyscy tego rodzaju mężowie stanu — panować nad wrogością, obcą i wewnętrzną, nie tylko siłą, lecz i strategią.

Ale cały ten rodzaj dwoistości jest nieodłączny od wszelkiego kierowania ludźmi innymi metodami niż bezpośredni autorytet. Pozostaje jednak faktem, że w sprawach zasadniczych Richelieu mógł sobie pozwolić na szczerłość — Bismarck nie. A być zmuszonym do nieszczerości w zasadniczych liniach swego działania to ciężkie brzemie, ogromny podatek na energii. Bismarck musiał odwoływać się do silnego niemieckiego pragnienia jedności rasowej, podczas gdy w rzeczywistości cały jego wysiłek zmierzał do zniszczenia tej jedności na rzecz wyniesienia jednej części ponad resztę i dla służby wyłącznie Prusom. Poza tym, z faktu, że instrument wojskowy był dla niego tak zasadniczy, Bismarck — w sprawie, która była być może najważniejszym punktem całej jego polityki — pozwolił, by go przeforsowano. Richelieu nigdy nie pozwolił się przeforsować. Bismarck uległ w kwestii Metz. [...]

Wśród wielu, czasem gwałtownych kontrastów pomiędzy tymi dwoma dziwnie równoległymi życiorysami odnajdujemy kontrast w tkance moralnej, sięgający aż do sfery woli. Wola Bismarcka nie miała tej ostrości rapiera, tej jakości wysoko hartowanej stali – giętkiej, niełamliwej, śmiertelnie skutecznej, rozstrzygającej, jak miecz – którą miała wola Richelieu. Wola Bismarcka miała raczej jakość łomu, czasem używanego jak pałka. W samopanowaniu wola Bismarcka załamywała się od czasu do czasu – jak nigdy nie zdarzyło się to Richelieu; a przecież panowanie nad sobą jest najwyższą próbą woli. Bismarck wdawał się w prywatne spory, często nierozsądne; pod wpływem odmowy bywał nawet rozdrażniony. Nie twierdzę, że jego wola nie była silna: była bardzo silna; a metafora łomu i pałki nie sugeruje słabości. Lecz brakowało jej hartu. O Richelieu można, jak sądzę, powiedzieć, że miał wolę najwyżej zahartowaną w dziejach nowożytnych.

Ale w innej sferze charakteru Bismarck wydaje się mieć przewagę. Mam nadzieję, że nie zostanę uznany za skłaniającego się ku paradoksom, jeśli powiem, iż w samym użyciu intelektu był on chyba w pewnym stopniu górujący nad Richelieu.

Sądy Richelieu o ludziach i sytuacjach były znakomite, jego maksymy polityczne – mądre. Doskonale umiał dostosowywać się do potrzeb. Ale nie mogę nie zauważyć, w jego autentycznych wypowiedziach, a czasem nawet w czynach, pewnej wąskości myśli – być może nieuniknionego skutku tak wielkiej koncentracji. U Bismarcka natomiast, gdy pracuje sam intelekt, obserwujemy narzędzie o nieco bardziej zasadniczej mocy.

Dochodziłem do ostatniej refleksji poprzez porównanie w odniesieniu do obu: trwałości dzieła, jakie każdy z nich pozostawił. Trwałość osiągnięcia jest być może niesprawiedliwą miarą wielkości człowieka; ale my, istoty efemeryczne, powołane do nieśmiertelnego przeznaczenia, nieuchronnie zwracamy się ku trwałości jako mierze sukcesu. Możemy tylko pytać: „czy dzieło przetrwało?” Granice diecezji ustanowione przez Dioklecjana wyznaczają do dziś okręgi kościelne i prowincje cywilne. Kalendarz sam w sobie jest świadectwem Cezara. Przykazania Mahometa wciąż są przestrzegane od Atlantyku po Morza Chińskie — i takimi rzeczami mierzymy.

Można by powiedzieć o obu tych ludziach, że na pierwszy rzut oka ich osiągnięcia nie miały trwałego charakteru. Monarchia absolutna, którą wznosił Richelieu, runęła – pozornie – w mniej niż 150 lat, a supremacja Hohenzollernów nad nowym państwem, które powołał do istnienia Bismarck, została zniszczona w niespełna sześćdziesiąt.

Ale te porażki są tylko pozorne. Prawdziwe dzieło obu okazało się znacznie trwalsze. Jak długo przetrwa dzieło Bismarcka, nie możemy dziś powiedzieć, ale sprawiedliwie można stwierdzić, że skoro wytrzymało próbę niemal całego pokolenia, to jego istota jak dotąd ocalała nawet w śmiertelnej próbie Wielkiej Wojny. Rzesza Bismarcka może się jeszcze okazać zakorzeniona dość mocno, by trwać bez końca. Omówię to za chwilę.

Hohenzollernowie zniknęli, być może na zawsze, ale Rzesza pozostała. A jej specyficzny charakter, jej istota (polegająca na podporządkowaniu dużej katolickiej mniejszości rządowi skupionemu w antykatolickim

Berlinie) jest dziś równie widoczna, jak była pięćdziesiąt lat temu.

Podobnie osiągnięciem Richelieu była skonsolidowana jedność narodu francuskiego i nawet zniszczenie kapetyńskiej monarchii nie zdołało, jak dotąd, w widoczny sposób tego podważyć. Nie czas więc jeszcze mówić, że dzieło któregoś z tych wielkich ludzi zostało zniweczone.

Ale w dokonaniach każdego z nich obecne są pewne siły, które – jeśli będą działały nieprzerwanie i zyskają na mocy – zdołają zburzyć jedno albo oba dzieła. W przypadku tworu Bismarcka aktem destrukcji byłoby zjednoczenie narodu niemieckiego. Nawet luźna federacja wystarczyłaby, by unieważnić pracę Bismarcka. Włączenie Niemców znad środkowego Dunaju i z Alp do tego samego systemu federalnego, który dotąd obejmował jedynie Niemców znad Renu, górnego Dunaju i równin północnych, oznaczałoby rozpad osiągnięcia Bismarcka. Przywróciłoby stary balans, który zniszczył; odnowiłoby niemiecką kulturę katolicką; stworzyłoby co najmniej trzy ośrodki energii – nad Dunajem, nad Renem i na równinach północnych – zamiast zostawiać wszystko, jak dziś, zależne od jednego bieguna w Berlinie. Prawdopodobnie obudziłoby to także odwieczny instynkt Niemców do odrębnych systemów lokalnych i plemiennych różnorodności. Ale owo zjednoczenie Niemców jeszcze się nie wydarzyło i może nie wydarzyć się nigdy.

Jeśli chodzi o dzieło Richelieu, tym, co mogłoby je zniszczyć, byłoby tak dalekie zaostrenie sporów religijnych we Francji, że albo poczucie jedności narodowej by znikło, albo sama kultura katolicka przestałaby istnieć w tym kraju. Dziś taki scenariusz wydaje się niemożliwy, ale już widoczne są symptomy takiej potencjalnej katastrofy. W ostatnich latach widzieliśmy, jak nienawiść do Kościoła katolickiego wśród jego zorganizowanych wrogów we Francji przeważała nad finansowym i politycznym bezpieczeństwem państwa. Widzieliśmy, jak niemal zniweczyła przywiązanie Alzacji i w ciągu zaledwie dziesięciu lat zdławiła entuzjazm odzyskanej prowincji wobec dawnych współbraci. Widzieliśmy, jak stabilność finansowa kraju została poważnie zagrożona przez ludzi, których główną troską była likwidacja zakonów, bo wiedzieli, że zakony stanowią największą siłę w zachowaniu i obronie wiary katolickiej; i codziennie możemy dostrzec, jak państwowe obowiązkowe nauczanie w szkołach wykorzenia z umysłów francuskich mas fundamenty kultury katolickiej. A wraz z utratą tej kultury Francja przestanie być tym, czym była w historii. Skutki już zaczynają się ujawniać w architekturze francuskiej – coraz bardziej odpychającej – i w prozie francuskiej – coraz bardziej nadętej. Takie wrzody wskazują na przyczyny głęboko dotykające całe ciało społeczeństwa.

Byłaby to dziwna Nemezis, w przypadku zarówno Bismarcka, jak i Richelieu, gdyby taki los spotkał ich dzieło. Byłby to przykład ironii dziejowej najwyższego rzędu, bo oznaczałby zniszczenie gmachu człowieka przez narzędzia, którymi go zbudował. Czym było główne moralne narzędzie Bismarcka przy wznoszeniu jego „Rzeszy”? Oczywiście – hasłem „jedności niemieckiej”. A przecież to właśnie prawdziwa jedność niemiecka byłaby najgroźniejsza dla jego dzieła.

Czym było naczelne założenie Richelieu w osiągnięciu niepodzielnej Francji? Przyzwolenie na głęboki rozłam religijny w narodzie francuskim jako cenę, jaką trzeba zapłacić za zachowanie jedności politycznej, dzięki której – jak sądził – dusza narodowa mogła być zachowana samodzielnie (i w stopniu wystarczającym).

W jednym i w drugim przypadku tym, co może zniweczyć wszystko, co zbudował twórca, jest właśnie ta siła moralna, na której pierwotnie polegał.

### III

[...] Należy wziąć pod uwagę trzy cechy ówczesnej politycznej rzeczywistości we Francji, zupełnie obce naszym czasom. Sprawiedliwość i administracja były tylko pośrednio związane z rządem; siła zbrojna państwa nie była stała, lecz doraźna; dochody państwa z podatków nie były regularne, lecz przypadkowe i nadzwyczajne. W nowoczesnym państwie – którego początkiem jest właśnie Richelieu – uznajemy przeciwieństwa tych cech za oczywistość. Sprawiedliwość i administracja są bezpośrednio związane z tym, co rządzi; siły zbrojne, policja i wojsko stanowią dużą stałą strukturę, całkowicie poddaną temu, co rządzi – broń czyniącą władzę niemal niezwyciężoną; wszelkie dochody potrzebne władzy do działania są gromadzone z urzędu, regularnie i nieprzerwanie, ich wysokość ustala autorytet, podatnik nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia, jego jedynym obowiązkiem jest płacić.

W każdej wysoko zorganizowanej, dużej wspólnocie istnieje dziś wszechwładny władca – czy nosi miano dyktatora, dziedzicznego króla, wybranego prezydenta, burmistrza miasta, gubernatora stanu, kompleksu magnatów finansowych i politycznych, czy też klasy rządząca. Jego bądź jej wola bezpośrednio rozkazuje wymiarowi sprawiedliwości i administracji, armii i policji, stałemu corocznemu systemowi podatkowemu.

**Przeczytaj również: Richelieu, ojciec współczesnej Francji?  
Rozmowa z Marcinem Giełzakiem**

Trzysta lat temu w żadnym z większych państw Europy tak nie było. Zadaniem Richelieu było stworzenie tych warunków we Francji, a tym samym zbudowanie fundamentów państwa nowożytnego; lecz u początków tego zadania brakowało mu wszystkiego. Pokonanie takich trudności jest pomnikiem jego geniuszu.

[...]

Jeśli chodzi o administrację, jego dzieło było gruntowne. Zastał administrację podporządkowaną półniezależnym możnym – małym i wielkim – z gubernatorami prowincji groźnymi wobec Korony. Pozostawił ją jako sprawę „intendentów”, urzędników Korony wywodzących się ze stanu średniego (i najbardziej sprawnych). Formalnie byli wysyłani jako obserwatorzy lub pomocnicy, w rzeczywistości byli rywalami gubernatorów i mieli więcej realnej władzy od nich: gubernatorzy ich nienawidzili, lecz oni, w imieniu królewskim, mogli ich przemożnie kontrolować. To właśnie ci „intendenci” w ciągu trzech następnych pokoleń odcisnęli na obliczu

Francji piętno monarchii, które tak silnie trwa w wielkich budynkach publicznych, głównych drogach i portach XVII i XVIII wieku. Przetrwało ono w kamieniu i rzeźbionych emblematkach.

Ani nazwa, ani urząd intendenta nie były jego wynalazkiem: nazwa pochodzi z czerwca 1551 roku, trzydzieści cztery lata przed jego narodzinami, a funkcja (skromna i niepewna) z lat następnych. Ale to Richelieu uczynił z intendentów to, czym są w historii Francji — wielkimi urzędnikami departamentów na państwowej pensji, przejmującymi zarząd prac publicznych prowincji — to on zwiększył ich liczbę i ogromnie poszerzył ich kompetencje. Jego współcześni mieli rację, utożsamiając nową maszynę z jego imieniem.

Stała armia i marynarka nowoczesnego państwa były równie jego dziełem. W całej Europie przed jego nadejściem armie były przypadkowymi zbiorowiskami ludzi wynajmowanych na miesiąc czy rok, obciążającymi wyjątkowo skarb w czasie swego zaciągu, a rozwiązywanymi tak szybko (a nawet szybciej!) niż zrealizowały cel, dla którego je powołano. Europa roiła się od bezrobotnych, których zawodem było wojowanie. Wojny religijne zadbały o to. Ale nie było wojsk stałych, poza małymi przybocznymi strażami królów i tu i ówdzie kilkoma oddziałami jazdy.

Od Richelieu jego następcy przejęli ideę regularnych regimentów utrzymywanych nawet w czasie pokoju.

To samo dotyczy marynarki. W Anglii istniała wprawdzie pewna liczba „okrętów królewskich” w każdym czasie, ale nie było niczego, co przypominałoby regularną flotę. We Francji nie istniał nawet załóżek takiej siły. Gdy Richelieu podejmował pierwsze zmagania morskie w związku z rebelią protestancką, musiał wynajmować okręty od Holendrów i samej Anglii. Dopiero gdy jego władza została w pełni utrwalona, zaczął tworzyć prawdziwą marynarkę; ale skoro raz ją powołał, pozostawił ją również, podobnie jak armię, w spadku potomności, i to on jest prawdziwym twórcą tej siły, która przez następnych sto pięćdziesiąt lat panowała na morzu, tocząc walkę o jego kontrolę, aż w końcu — po sukcesie, jakim było oderwanie amerykańskich kolonii od Anglii — została zniszczona przez Rewolucję. [...]

A zatem, w pewnym stopniu w administracji – choć w mniejszym zakresie w kontroli nad sądami – Richelieu rozpoczął tworzenie modelu nowoczesnego państwa, czyniąc z francuskiej Korony prawdziwy rząd centralny. Tak samo postąpił w kwestii sił zbrojnych, bez których kontroli żadne nowoczesne państwo nie mogłoby funkcjonować. Ale niezbędnym oparciem dla tego wszystkiego jest duży i regularny dochód z podatków – i to właśnie jego stworzenie, po raz pierwszy w Europie od czasów pogańskiego Cesarstwa, było najbardziej niezwykłym szczególnym osiągnięciem Richelieu w ramach całego dzieła kardynała.

Nie ma w kontraście między Europą średniowiecza i renesansu a Europą naszych czasów politycznie nic bardziej uderzającego niż różnica w stosunku opinii publicznej do kwestii dochodów. Gdy centralna władza Cesarstwa Rzymskiego zaczęła się rozpadać, jego

dochody – które miały charakter prawdziwie nowoczesny (to znaczy pochodziły z podatków nałożonych na obywateli bez ich udziału w decyzji) i które również były nowoczesne w tym sensie, że sięgały granic możliwości płatniczych (a nawet je przekraczały) – gwałtownie zmalały. Na ich miejsce pojawiły się, na rzecz lokalnych królów, którzy przejęli dawną władzę cesarską, wielkie dochody z czynszów ziemskich. Dochody te traktowano jako dochody prywatne królów, pochodzące z czynszów ich prywatnych posiadłości.

W wyniku tego procesu po kilku pokoleniach rządy nie były już pojmowane jako funkcja mająca prawo do udziału w dochodach wolnego człowieka, lecz jako instytucja, która musi utrzymywać się z własnych nadań; dlatego w całej epoce ciemnej, a potem przez całe średniowiecze, uważano za oczywiste, że król powinien „żyć z własnego”. Miał ogromny osobisty dochód ze swych ziem, z których był bezpośrednim panem, oraz z feudalnych świadczeń wasali i miast.

W czasach szczególnego napięcia, zwłaszcza w czasie wojen królewskich, był zmuszony prosić o dodatkowe środki, ponad regularny prywatny dochód; ale już sama nazwa tych „subwencji” (aids) wskazywała, że traktowano je jako wyjątki. Podatek wszędzie pozostawał – aż do początku XVII wieku – anomalią i zjawiskiem sporadycznym. Nigdy nie był uznawany za coś regularnego i koniecznego. Zawsze istniała myśl, że jest to chwilowe obciążenie, które w końcu zostanie zdjęte. I rzeczywiście to właśnie niemożność stworzenia regularnego systemu podatkowego wbrew oporowi bogatych okazała się zgubą angielskiej monarchii. Sukces Richelieu w tym samym zadaniu uczynił natomiast monarchię francuską najwyższą potęgą.

Trudności na drodze do wprowadzenia tej nowości były ogromne i nie byłoby to możliwe, gdyby Richelieu nie zaczął od zdławienia siłą oręża potęgi bogatych rodów, a nie skończył na tym, że mógł powoływać się na wielką wojnę zagraniczną trwającą przez wszystkie jego późniejsze lata. [...]

Richelieu pozostawił Francję z regularnym i dużym dochodem – francuska Korona posiadała na stałe ten fundamentalny instrument. Ale osiągnął to kosztem przygniecenia, nie do całkowitego gospodarczego unicestwienia, lecz do stanu nieustannego lęku i obciążenia, milionów drobnych rolników, na których opierało się państwo francuskie. [...]

## **V Osoba i charakter**

Gdy Richelieu, u szczytu swej potęgi, wybrał Jansenistę Philippe'a de Champaigne na swego oficjalnego malarza, uczynił dobrze. Alternatywą był Rubens – i mówi się, że jeśli go odsunął, to z powodu rywalizacji z Królową Matką, której Rubens służył. Ale było w tym coś więcej: uznanie dla sztuki i dla ludzi. Rubens nigdy nie mógłby namalować Richelieu. Philippe de Champaigne utrwalił go na trzy stulecia.

Spośród portretów wybór między Galerią Narodową w Londynie a Luwrem należy do Luwru. Słynny potrójny portret w Londynie – dwa profile i en face – wystarczyły dla potomnych, gdyby arcydzieło z

Luwru zaginęło; ale mając to arcydzieło, posiadamy świadectwo jeszcze wyższej rangi. To dzieło, nad którym warto się zadumać. Człowiek, który znałby tylko samo imię, albo nawet nie znał go wcale, zatrzymałby się przed nim, by się zadziwić. Kto przeczytał o Kardynale wszystko, co tylko mógł, nie zna go, dopóki nie zobaczy tego płótna – a gdy już je zobaczy, cała jego wiedza z ksiąg zostaje nagle rozświetlona tak, jakby spotkał i poznał go osobiście, współcześnie.

Stoi tam w czerwonej szacie, z delikatnością palców podkreśloną lekkim ciężarem biretu, w postawie skupionej uwagi, jakby na audiencji. Smukła sylwetka wydaje się wyższa, niż jest w rzeczywistości, dzięki pewnej aurze ukrywanego panowania; postawa wyprostowana, a zarazem gotowa, by nieco ugiąć się pod ciężarem myśli. Rzadkie włosy, długie i ciemne, kontrastują z subtelną bladością cery. Łuki brwi stromo wznoszą się na szerokim czole, niemal przesadnie, tak że „zdaje się, jakby był wciąż zaskoczony” – lecz pod nimi te oczy. Jak opisać te oczy?

Jest w nich dyskrecja, lecz i rezerwa siły; akceptacja, lecz bez inicjatywy; obserwacja bez dopuszczenia do wnętrza (okna, a nie drzwi) – i im dłużej się w nie wpatrujesz, tym bardziej zdają się ukazywać wyraz samego żywego człowieka. To pochwała ostrza skrytego w pochwie; lecz w pochwie przezroczystej. To spojrzenie czujne, nieskrywane, choć strzeżone – strzeżone jedynie przez rodzaj neutralności, która jest czymś więcej niż obojętność, a czymś mniej niż aktywna energia. Jakby zostały stworzone po to, by wszystko przyjąć do wnętrza umysłu, a na zewnątrz oddać tylko tyle, ile zamierzał właściciel – czy to miarę kurtuazji, czy precyzję nagany. Trudno w nich wyobrazić sobie gniew czy inne gwałtowne uczucie, bo wszystko, co żyje za nimi, tkwi głęboko wewnątrz. Są duże i niemal wypukłe. Mają

łagodny kontur. Nie ma w ich nieco melancholijnym spojrzeniu nic z podejrzliwości. Są nieruchome i ich spojrzenie musiało być powolne. A jednak z nich, jak i z mocnych, szczupłych warg pomiędzy wojskowym wąsem a spiczastą bródką tej twarzy, o smukłym łuku nosa i ściągniętych liniach ust, wychodziły decyzje nieodwołalne i rozkazy, które kształtowały świat. [...]

[Matka] [u]rodziła go późno – w wieku trzydziestu pięciu lat – jako czwarte z dzieci, niemowlę, o którym przez wiele miesięcy sądzono, że nie przeżyje; a gdy dorósł, jego dzieciństwo było już naznaczone chorobą, męskość nigdy wolna od ciężkich dolegliwości nerwowych i skażonej krwi.

Jego głowa bolała nieustannie – czasami tak silnie, że całkowicie go unieruchamiała. Przez całe życie cierpiał na wrzody i inne dolegliwości tego rodzaju, które ostatecznie go zabiły, a poza bólami neuralgicznymi, które go dręczyły, musiał odziedziczyć słabość układu nerwowego, która u co najmniej jednego brata i jednej siostry objawiła się jako ograniczona inteligencja w najlepszym razie, a szaleństwo w najgorszym. W jego własnym przypadku – obok silnego intelektu – ta słabość przejawiała się w postaci okresowej mechanicznej niestabilności, która mogła być epileptyczna.

W związku z tym przypuszczeniem istnieje tradycja o jego epilepsji, którą można przywołać jedynie jako tradycję (sądzę bowiem, że nie ma na to współczesnej dokumentacji), ale którą – ponieważ tradycja jest istotnym elementem historii – należy wspomnieć.

To samo mówiono o wielu ludziach geniuszu. Być może źródło tego tkwi jedynie w napięciu, jakie wielkie zdolności i wielkie osiągnięcia nakładają na człowieka o wątłym zdrowiu.

Nie tylko istnieje ta tradycja epilepsji, lecz także dalsze jej rozwinięcie o okresowe zaburzenia. Tradycja ta była wciąż silna, gdy Madame, ordynarna niemiecka wdowa po haniebnym bracie Ludwika XIV, pozostawiła ją na piśmie. Jej Listy przez stulecie nie ujrzały druku, a sama pisała niemal całe życie — od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat po śmierci wielkiego Kardynała. Ale tak jak brzmi, i na tyle, na ile jest warta, oto ta osobliwa wzmianka:

Madame zapisała jako rzecz powszechnie znaną (zapewne w rodzinie królewskiej), że Kardynał miewał czasami napady takiego obłędu, iż wierzył, że jest koniem, i pod wpływem tego urojenia biegał w kółko po swoim pokoju, rżąc i kopiąc na sposób koński, zadając stajenne ciosy kopytami swoim służącym. Kiedy dopadały go takie ataki, chwytano go, krępowano, kładziono do łóżka, aby wypocił je w gwałtownym gorączkowym transie. Kiedy budził się z następującej po tym śpiączki, niczego z tego wszystkiego nie pamiętał.

Sama ekstrawagancja tego zdumiewającego opisu przyczynia się do jego zdyskredytowania. Może się też wydawać, że przemawia przeciw niemu fakt, iż tak ogromna przypadłość nie mogłaby pozostać w tajemnicy. Ale mamy tu na korzyść to, że najintymniejsze rzeczy dotyczące wielkich ludzi rzadko przenikają do świata zewnętrznego, a

ta historia należy dokładnie do tego rodzaju niedorzecznych anegdot, które utrzymują się w bardzo wąskim kręgu, przekazywane w jednej rodzinie – rodzinie królewskiej Francji, której Richelieu służył najbliżej.

Możliwe nawet, że raz zdarzyło mu się cierpieć przez kilka dni na ogólne i przedłużone urojenia. Jak w tylu punktach tego życia – tak dziwnie przepełnionego dokumentacją w niektórych kwestiach, a ubożego w innych – tutaj znów musimy zdać się na pogłoski. Ale pogłoska ta jest zbyt silna, by ją całkiem zlekceważyć. Istnieje na przykład bardzo uporczywa tradycja, że kiedy usłyszał o otrzymaniu kapelusza kardynalskiego, pod wpływem intensywności emocji popadł w krótki atak szaleństwa.

Możemy przynajmniej, jak sądzę, dojść do wniosku, że Richelieu od czasu do czasu, rzadko i w prywatności, jawił się współczesnym jako człowiek na granicy załamania nerwowego – a to, powtórzę, jest prawie prawdą w odniesieniu do każdego człowieka wielkich dokonań. Natomiast publicznie nie było po tym ani śladu; przeciwnie, stworzył legendę niezmienną niewzruszoności i utrzymał tę legendę bez uszczerbku.

Całą tę słabość, a nawet grozę, ujarzmił jednak dzięki temu wyjątkowemu instrumentowi, jakim była jego wola – i w posługiwaniu się nią zajmuje on miejsce najwyższe w całej historii Europy. Nie ma w dziejach postaci twórczej (choć wszyscy założyciele są jedynie wyrazicielami woli), której wola miałaby taką jednolitość przez czterdzieści lat i siłę większą niż ludzka. Nie osłabiła jej nawet sama śmierć; słowa wypowiedziane wraz z ostatnim tchnieniem, ledwie dosłyszane, były tego przykładem. Ta wola miała w sobie coś z praw

działania świata fizycznego – ich niezmiennej sekwencji, ich nieuchronności, ich stałych skutków. „Siła” to niemal za słabe słowo, by to oddać. Trzeba by znaleźć nowe słowo, które nie miałoby żadnych konotacji wysiłku, rytmu, odżywiania czy ograniczenia. Była absolutna.

Ale zauważmy tu potrójny element jego duszy, z których wola była tylko jednym składnikiem. Bo ta wola została oddana w służbę ambicji, a że ambicja oznaczała dla niego z kolei służbę określonemu urzędowi i określonemu człowiekowi – jego ministerstwu i narodowej monarchii – dlatego już bardzo wcześnie w jej działaniu zrodził się trzeci składnik: oddanie. To właśnie barwa oddania, której tak wielu nie dostrzegało, tłumaczy go i jego nieustającą konsekwencję.

Ambicja, pomieszane pragnienie sławy i władzy, objawia się w nim już na początku dorosłości. Widać ją w jego uporczywym dążeniu do osiągnięcia godności biskupiej jeszcze przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia, w sposobie, w jaki rządził swoją diecezją, w jego parciu ku blaskowi Paryża i dworu, we wszystkich działaniach jego pierwszych lat oraz w maksymach, które pozostawił nam jako wyznacznik własnego postępowania. Ci, którzy zdobywają władzę dzięki pokonaniu rywali lub wrogów państwa, mogą czynić to szlachetnie, jeśli urodzili się na wysokiej pozycji albo zostali do tego powołani przez autorytet; natomiast ci, którzy sami pragną osiągnąć stanowisko polityczne, muszą – bez nadziei uniknięcia tego losu – zstąpić do podłości w początkach swojej drogi. I właśnie to stanowi najsilniejszy argument za dziedzicznym rządem w każdej arystokracji czy monarchii: może on bowiem dostarczyć wspólnocie władców, którzy nie zostali skażeni piętnem intrygi i służalczości. Ci, którzy nie mają prawa dziedzicznego, nie mogą uniknąć tego piętna. Gdy już się

wzniosą, mogą wyzwolić swe dusze i z godnością służyć dobru współobywateli i państwa, lecz zawsze będą nosić w sobie wyrzut i wspomnienie wcześniejszej niegodności.

Mówić mało, słuchać wiele, udawać zainteresowanie nudnymi wywodami przełożonego, schlebiać i budzić lęk. Mógłby jeszcze dodać (choć o tym milczy): znosić obelgi, odkładać zemstę, nieustannie obserwować wszystkich wokół, którzy każdą godzinę wykorzystują te same talenty i te same wady, by się wybić – którzy więc będą mu przeszkadzać w drodze naprzód i spróbują go zepchnąć, gdy osiągnie swój cel. Richelieu w młodości – aż do czterdziestego roku życia – udawał przyjaźń, posuwał się do podstępu. Przyjmował protekcję od tych, których później niszczył.

Do szantażu, tej pospolitej broni polityka i dworzanina, nigdy się nie zniżył – przynajmniej o niczym takim nie wiemy – ale pochlebiał królowej matce w dniach jej potęgi, chwycił każdą okazję do autoreklamy i wywierania wrażenia, układał swe pierwsze kazania pod kątem awansu, ćwiczył niemały talent oratorski na zgromadzeniach w tym samym celu. Skarżył się głośno, z przesadą, na biedę i niesprawiedliwe zaniechanie. Można powiedzieć, że nigdy – aż do trzydziestki – nie uczynił ani nie powiedział niczego związanego z rządem, co nie byłoby podporządkowane temu, by w końcu do niego wejść wszelkimi środkami; ani – aż do prawie czterdziestki – co nie zmierzałoby do odzyskania i umocnienia jego pozycji. Usprawiedliwiał się tym przed samym sobą, że jest świadomy swych najwyższych zdolności i geniuszu do spraw najwyższej wagi. Tą maścią koił swój honor, a jednak bez skrupułów go ranił, dopóki nie mógł sobie pozwolić

na niezależność – ale osiągnął ją dopiero wtedy, gdy wszedł na dobre do Rady i opanował ją w 1624 roku, a wtedy miał już blisko czterdzieści lat.

Tylko tak krętą drogą i przez rozegranie tej gry do końca mógł zostać zwierzchnikiem politycznym i utrwalić swoją pozycję.

Lecz gdy już ją zdobył, pojawiła się w nim i zaczęła wzrastać ta jakość, która odtąd rozświetlała jego życie – oddanie.

Wielkim błędem jest widzieć w jego kierowaniu Ludwikiem XIII jedynie podstępne oszukiwanie lub zabawianie umysłu niższego przez wyższy, a jeszcze większym błędem jest przypuszczać, że jego stosunek do króla był w istocie pełen pogardy. [...] nie można mówić, że służył Ludwikowi tylko dlatego, że od Ludwika zależała jego pozycja. Sama ambicja popchnęłaby go do intryg z bratem i dziedzicem bezdzietnego króla. Nigdy tego nie zrobił. Niewzruszenie trwał przy władcy, który nieraz był bliski śmierci, dobrze wiedząc, że gdyby umarł, Richelieu czekałaby zguba i wygnanie.

Jego najwyższe talenty w administracji, dyplomacji i rządzeniu wewnętrznym osadzone były w ramie talentu wojskowego. Tworzą nas nie tylko dziedziczność i sposób, w jaki ją wykorzystamy, lecz także żywe wrażenia z końca młodości – wychowanie w latach kształtujących tuż przed dojrzałością. A w tych latach Richelieu był w Akademii, ucząc się wojny. Tylko przypadek rodzinny – którego szczegóły zaraz poznamy – sprawił, że przyjął święcenia. Był przeznaczony do zawodu ojca, do tego, co stanowiło drogę wszystkich ludzi jego stanu, jeśli nie wstępowali do Kościoła: do zawodu wojskowego. To wojskowe szkolenie, te studia i ten tryb życia, choć krótko pozostawał pod ich

bezpośrednim wpływem, oddziaływały na niego przez całe życie. Mógłby się wyróżnić w sztuce wojennej – i to, pamiętajmy, było silnym ogniwem łączącym go z Królem.

Decyzję wielkiego żołnierza odnajdujemy nieustannie w karierze tego chorowitego, lecz nieugiętego człowieka: decyzję, umiejętność dostrzegania szczegółów, dobór poruczników, ocenę mapy, wykorzystanie okazji i zaskoczenia, a także to, co Francuzi nazywają „okiem” – czyli wyczucie terenu. Widać to w kampanii na wyspie Ré, pod La Rochelle, w Casale, w odparciu kryzysu roku oblężenia Corbie, w jego rozeznaniu sytuacji niemieckiej, gdy wciągnął Gustawa Adolfa do wojny.

Nie mamy, niestety, dostatecznych danych, by sprawdzić (poza wczesnymi studiami młodości) sprawność przyswajania u Richelieu; lecz wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za tym, że była wyjątkowa – jak u wielkich dowódców. Bo działanie Richelieu raz po raz było tak zbliżone do szybkich i natychmiastowych decyzji wojskowych, że możemy przypuszczać u niego tę samą cechę, co u najwybitniejszych wodzów historii: opanowanie sytuacji w jednej chwili. Stąd widzimy go bez wahania powierzającego ludziom swego stanu udane dowództwa na lądzie i morzu, i stąd widzimy go sportretowanego w zbroi. Jego ulubiony wizerunek ukazuje go raczej jak marszałka niż kardynała – jadącego na czele. [...]

Z tym wojskowym rysem szło w nim nie tylko pewne oko do ludzi – nigdy go nie zawiodło, czy to przy wyborze agenta, tropieniu krajowego wroga, czy w rozgrywce z zagranicznym rywalem – ale i coś, co rzadko

idzie w parze z takim osądem: gotowość słuchania rady. Napoleon dorównywał mu lub go przewyższał w pierwszym, ale był poważnie niższy w drugim. [...]

W sprawach religii Richelieu przykładał tę samą rzeczową, prozaiczną, pozbawioną uniesienia uwagę, jaką stosował wobec spraw doczesnych. W religii bowiem są trzy rzeczy do powiedzenia o tym wielkim duchownym, które wcale sobie nie przeczą (każda stanowi część jednego, spójnego charakteru), lecz które w nowoczesnych uszach brzmią osobliwie w zestawieniu:

Po pierwsze, był głęboko wierzący: nigdy nie miał żadnych wątpliwości. Potrafił dobrze argumentować w obronie wiary i pisał jasno oraz bardzo szczerze na jej rzecz. Był pełen praktyk katolickich, gorliwy w reformowaniu swojej diecezji, skrupulatny w obowiązkach duchownego.

Po drugie, niemal całkowicie brakowało mu kapłańskiego charakteru. Traktował kapłaństwo jak świecki zawód, biskupstwo jako praktykę rządzenia, a kardynałat jako drogę do władzy. Żaden wzgląd nie powstrzymałby go w kwestii celibatu, czy raczej ślubu czystości. Większość romantycznych historii o nim – czy też tylko insynuowanych – jest fałszywa. Mit, że był kochankiem Anny Austriaczki, jest nedorzeczny, a z całą pewnością można zaprzeczyć, by był kochankiem Marii Medycejskiej. Przynajmniej publicznie nie zdradzał ani braku opanowania, ani nawet skłonności do kobiet. Ale gdyby uznał, że romans posłuży jego karierze lub państwu, podjąłby się go jak zadania. W rzeczywistości nie widzę dostatecznych dowodów, by kiedykolwiek

znalazł się w takiej sytuacji, ale rozejście się w nim kapłaństwa i istoty kapłańskiego powołania widać równie wyraźnie, jak u najbardziej świeckich duchownych XVIII wieku.

Po trzecie, nie miał zapału, jaki miało tylu ludzi jego czasów, dla triumfu katolicyzmu; nie postrzegał Europy jako pola bitwy między tradycją a rewolucją w doktrynie i filozofii. Uważał ten konflikt przede wszystkim za sprawę odpowiedniej manipulacji, dzięki której można wzmocnić interesy monarchii francuskiej. Prawdopodobnie, że ledwie rozumiał – a z pewnością nigdy się nie poddał – powszechnemu wówczas przekonaniu, iż jeśli polityka francuska nie będzie w tamtym krytycznym momencie lat 1620–1640 całkowicie katolicka, Europa nigdy nie zostanie zjednoczona. Zapewne sądził, że ostateczne zjednoczenie Europy albo ostateczne zwycięstwo katolicyzmu jest pewne, i nie chciał, aby dla jego przyspieszenia poświęcono choć jeden szczegół polityki służącej konsolidacji i wzmocnieniu państwa, którym rządził. Stąd tolerancja w kraju i sojusze z protestantyzmem przeciwko mocarstwom katolickim za granicą. Stąd przydomek „kardynał hugenotów”. Stąd kult jego osiągnięć wśród tych, którzy przyjęli nową religię nacjonalizmu i zapomnieli – albo uznali za niemożliwy – ideał chrześcijaństwa jako wspólnoty.

Tyle w sprawie głównych rysów jego geniuszu, wokół których skupiało się mnóstwo cech pobocznych, zwłaszcza wielka potrzeba porządku w otoczeniu, dbałość o wygląd i strój, ścisła organizacja godzin. [...]

*Hilaire Belloc*

**Wszystkie artykuły z Teologii Politycznej Co Tydzień [493]:  
„Richelieu. Ontologia(e) państwa nowożytnego”**

*Grafika:* Richelieu et ses chats